



# Kopysno w opowieści

## Część III

Czytając opowieść pamiętaj, że jej tekst nie został poddany zewnętrznej korekcie i redakcji, lecz mimo niedoskonałości, autor zgodził się ją opublikować i chętnie przyjmie wszelkie uwagi i spostrzeżenia, które należy kierować na adres:

[kopysno@kopysno.pl](mailto:kopysno@kopysno.pl)

Opisane wydarzenia, poza wyjątkami znanymi autorowi, nigdy nie miały miejsca i choć występują w nich osoby, które rzeczywiście istniały i niektóre nadal cieszą się życiem, zamieszczone opowiadania powstały jedynie w jego wyobraźni i są fikcyjne.

*Pracę tę poświęcam moim dziadkom i rodzicom, bez których nigdy nie powstałyby opowieści z Kopysna.*

*Autor*

**Wiatru powiew i owoców smak**

## **Lata 80. XX wieku.**

„Wstawaj! Za godzinę odjeżdża nasz pociąg w Bieszczady.” – obudził mnie z rana kolega zdzierając ze mnie koc, którym byłem przykryty.

Poprzedniego dnia dałem się zwieść organizatorom imprezy dla studentów, którzy zapewniali, że kto wypije najwięcej importowanego piwa, będzie mógł w nagrodę otrzymać parę butelek Budweisera.

Widząc rwącą się do rywalizacji dziewczynę, która wpadła mi w oko już na pierwszym roku studiów, nie mogłem nie zgłosić się do konkursu. Licząc na moje czeskie geny myślałem, że wygrana mam w kieszeni, ale mój organizm, który widocznie musiał posiadać jeszcze jakieś obce genetyczne naleciałości, niestety zawiódł mnie na całej linii. Wygrała moja konkurentka, blondynka z Raciborza, która po konkursie, w całym tym rozgardiaszu opuściła imprezę i tyle ją widziałem. A miałem jej wiele do powiedzenia... .

„Jak to jedziemy? Nie mam nawet spakowanego plecaka!”- z bólem głowy zwróciłem się do kolegi licząc na to, że mnie zrozumie i będę mógł pozostać na miejscu.

„Nie udawaj głupiego. Musimy przeprowadzić te badania. Bez nich nasza praca magisterska weźmie w łeb. Dotarło?” –

tymi słowami udało mu się przedrzeć do mojego umysłu, nieco potrąconego zdarzeniami z poprzedniego dnia.

„Już wstaję, nie krzycz, ale czemu mamy jechać w Bieszczady?”- zadałem pytanie.

„Nie pamiętasz? Nasz promotor wyjątkowo zgodził się, byśmy wspólnie napisali pracę magisterską, pod warunkiem że pojedziemy do tej małej, wyludnionej wsi w Bieszczadach, gdzie rośnie jakaś wyjątkowa roślina. Zamiast o tym myśleć, wczoraj nachlałeś się piwa i o tym zapomniałeś.”- odrzekł kolega.

Wstawanie z łóżka nie należało do przyjemności, ale jakoś ogarnąłem się przed naszą podróżą.

Nie wiem jak, ale wzięwszy razem duży namiot oraz swoje niezbędne rzeczy, które umieściłem w plecaku, wsiedliśmy na dworcu PKP do pociągu, który jak twierdził kolega, miał nas zawieźć w Bieszczady.

W wagonie klasy II, do którego z trudem weszliśmy, był okropny tłok. Staliśmy w korytarzu ściśnięci jak ryby w konserwie, a ludzie z plecakami wędrując z jednego końca wagonu na drugi, szukając wolnych miejsc, stale nie dawali nam spokoju. W końcu opanowali toaletę, i żeby z niej skorzystać, trzeba było nieźle natrudzić się, by opuścili ten przybytek.

Kolega, który lubił zawsze górować nad innymi niczym ormowiec, wszedł do jednego z przedziałów pociągu i pokazując legitymację studencką, zdecydowanym głosem oznajmił obecnym, że jest on zarezerwowany i muszą go natychmiast opuścić. Paru chłystków jadących do Krakowa na jakiś mecz, dało się na to nabrać, przez co mogliśmy usiąść i w spokoju dotrzeć do końca naszej podróży.

Do Rzeszowa siedzieliśmy sami w przedziale, lecz gdy otworzyły się drzwi i weszła do niego niepozorna dziewczyna w dżinsach pytając, czy może się do nas dosiąść, zgodziliśmy się jednogłośnie. Nie miała zbyt dużo bagaży, usiadła obok nas i tyle pamiętam... Nie miałem sił z nią rozmawiać i myśląc stale o blondynie z Raciborza, chciałem wpaść w ramiona bogini Nyks<sup>1</sup>.

Od kolegi dowiedziałem się, że podczas podróży dziewczyna z przedziału nie spuszczała ze mnie oka i pytała go dokąd jedziemy, a kiedy jej odpowiedział, że do Kopysna, w Bieszczady, to roześmiała się i delikatnie mu wyjaśniła, że ktoś nas wprowadził w błąd, bo miejscowość ta znajduje się w całkiem innym miejscu, na Pogórzu Przemyskim.

„Znam Kopysno, bo stamtąd pochodzą moi dziadkowie i rodzice, ale to nie są Bieszczady.” – wyjaśniła koledze.

---

<sup>1</sup> Według mitologii greckiej - bogini i uosobienie nocy.

\*\*\*

Pociąg dotarł do Przemyśla i nie miał zamiaru jechać dalej. Zajęci bagażami nie zauważyliśmy nawet, kiedy podróżująca z nami dziewczyna wyszła z przedziału.

Opuściliśmy pociąg i wychodząc z dworca PKP poczuliśmy zapach smażonych placków ziemniaczanych, który sprawił, że musieliśmy odwiedzić to miejsce, które jak się okazało, znajdowało się niedaleko.

Złożyliśmy zamówienie i zajmując wyznaczone stojące miejsce, cierpliwie czekaliśmy na nasze porcje, uważając przy tym, żeby panie, które smażyły placki na rozgrzanym blacie, nie przegapiły naszej kolejki.

Kiedy usłyszeliśmy, że placki są już gotowe, ruszyliśmy w ich kierunku, chcąc od razu je połknąć, a popijając je zimnym kefirem, doznaliśmy najwyższych uniesień smakowych i czuliśmy się niczym kulinarni poeci.

Z dworca PKP w Przemyśle mieliśmy dotrzeć do Rybotycz, więc przeszliśmy tunelem na drugą stronę torów, gdzie znajdował się dworzec PKS.

W kasie, gdzie trzeba było uklonąć się przed miłą panią za szybko, kupiliśmy bilety i usiadłszy na ławce oczekiwaliśmy właściwego dla nas komunikatu z głośnika. Co chwilę autobusy podjeżdżały na tzw. zatoczki, ale nie te, na które czekaliśmy.

Wreszcie podjechał na nasze stanowisko autobus do Rybotycz, ale nie było łatwo do niego wejść, bo był już w części zapełniony pasażerami, którym udało się wcześniej wejść do niego tylnymi drzwiami, gdy stał na parkingu. Kierowca udawał, że nic się nie stało, ale miał problem jak umieścić tych, którzy także chcieli wsiąść do autobusu, a był przed jego drzwiami niemały tłum, w tym my z plecakami.

Po raz kolejny mój kolega posługując się legitymacją studencką, przekonał kierowcę, że musimy dziś być w Rybotyczach, bo mamy do wykonania poważne zadanie. Kierowca uznał jego roszczenia i nakazał pasażerom zgromadzonym w autobusie, by zrobili dla nas miejsce. Pozostałym oczekującym na wyjazd pasażerom życząc im miłej podróży wyjaśnił, że następny autobus do Rybotycz będzie za godzinę, co nieco ich uspokoiło.

Przez całą drogę autobus był bardzo wesoły, a my upchani w nim jak śledzie, staliśmy trzymając się ręką czego się dało.

Gdy autobus zatrzymywał się na wyznaczonych przystankach, to nierzadko kobiety z koszykami i innymi tobołkami, chcąc z niego wyjść, musiały nas omijać, a wtedy miał miejsce przysłowiowy Meksyk.

Wciąganie brzucha, stawanie na jednej nodze, czy nawet siedzenie na pasażerze, gdy ktoś miał duży bagaż, to była



norma. Cieszyliśmy się tylko z jednego, że autobus nadal jechał i czekaliśmy tylko, kiedy zakończy swój bieg w miejscu, do którego zmierzaliśmy.

Do Rybotycz dotarliśmy po południu. Koniecznie musieliśmy odwiedzić pobliski sklep, by kupić na kilka dni coś do jedzenia i do picia.

Jak wyjaśniła nam pani sklepowa z białym czepkiem na głowie, z napitków dostępna była tylko oranżada z Birczy, a do jedzenia pozostał także z Birczy, okrągły duży chleb, który nie odebrał jakiś człowiek, bo musiał pilnie wyjechać do Fredrośla na wezwanie milicji. Pędził bimber, jak się dowiedzieliśmy i rozpijał lokalne społeczeństwo, bogacąc się przy tym ponad stan, czego dowodem był zakup nowego roweru typu „Ukraina”, którym woził własne wyroby do klientów na ich zamówienie.

Miła pani ze sklepu bardzo nas zachęcała, byśmy wzięli ten ostatni bochenek chleba tłumacząc, że dostawa świeżego pieczywa będzie dopiero za kilka dni.

Nie mieliśmy wyboru i przyjęliśmy jej propozycję, a chleb rzeczywiście tak bardzo pachniał, że będąc głodni od razu zabraliśmy go z lady i upchnęliśmy do plecaka.

Kiedy płaciliśmy za zakupy, wszedł do sklepu jakiś starszy człowiek, który widząc nas zapytał: „Dokąd zmierzacie panowie?”.

„My do Kopysna.” – odpowiedział kolega.

„To poczekajcie na mnie, kupię tylko sól i cukier, to was tam zawiozę.” – rzekł nieznajomy.

„A do kogo jedziecie?” – zapytał jeszcze.

„Jedziemy oglądać ciekawe rośliny pod Kopystanką, mamy na to zgodę kierownika PGR w Rybotyczach.” – odrzekłem.

„Aha, studenci. No tak. Co roku tu przyjeżdżają. My ludzie starsi lubimy młodych, bo kiedy do nas przyjeżdżają, Kopysno pachnie młodością, którą już straciliśmy.” – z dozą pewnej radości i zarazem smutku wyraził się ten człowiek.

Wsiedliśmy z bagażami na wóz i wyruszyliśmy do Kopysna.

Wóz zaprzęgnięty w dwa konie, ruszywszy spod sklepu jechał wzdłuż potoku, po czym przekroczył go i z mozołem ciągnął ciężary pod górkę. Kiedy pokonaliśmy wzniesienie, zatrzymaliśmy się na chwilę, by konie mogły odsapnąć i wtedy nasz nieznajomy zaczął opowiadać ciekawe historie.

„Jak widzę jesteście tu pierwszy raz, to może coś wam panowie opowiem. Rybotycze miało kiedyś prawa miejskie, a szewcy żydowscy byli słynni na cały świat. Szyli buty na

dwór samego cesarza Franciszka Józefa. Niestety, w czasie II wojny światowej wszystkich Żydów, poza nielicznymi, zamordowano. Przed wjazdem do wsi, po prawej stronie, na pagórku jest cmentarz żydowski. A ilu Polaków i Rusinów, którzy przed wojną żyli w zgodzie wysiedlono i porozrzucano po świecie... trudno o tym zapomnieć.” - ze smutkiem opowiadał nieznajomy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy dotarliśmy do Kopsyna. Nasz nieznajomy uznał, że nie może nas zawieść w miejsce, gdzie mieliśmy rozbić namiot i nalegał, żebyśmy to zrobili obok jego domu, przy czym zaprosił nas na kolację.

Zmęczeni trudami podróży, bez zająknięcia przystaliśmy na jego propozycję. Nie byliśmy jednak głodni, bo zakupiony chleb, któremu nie mogliśmy się oprzeć, podjadany ukradkiem podczas podróży, dostatecznie napchał nam żołądki, więc żona naszego nieznajomego oznajmiła, że pościele nam w stodole obok, na sianie, i nie czekając na naszą odpowiedź wzięła pościel i tam się udała.

Od tej pory, gdy nieznajomi okazali nam wyjątkową gościnność i szacunek, stali się „naszymi gospodarzami”. O tym się nie zapomina.

\*\*\*

Rankiem, gdy obudziliśmy się w stodole, od razu przystąpiliśmy do rozwinięcia naszego dużego namiotu we wskazanym przez gospodarza miejscu, niedaleko jego zabudowań. Tego dnia nie mieliśmy jednak ochoty przystąpić do naszych badań, więc pozostaliśmy na miejscu.

Gospodarz widząc nasz namiot podszedł do nas i oznajmił: „Tu wam będzie dobrze. Gdybyście czegoś potrzebowali, to mówcie, a woda do picia i mycia - wskazując ręką studnię - jest tam. Tylko uważajcie by do niej nie wpaść. Wychodek jest obok sterty obornika obok domu, więc traficie bez przeszkód.” Po czym dodał: „Żartowałem, studnia ma tylko kilka kręgów, ale woda w niej pyszna, musicie spróbować.”

\*\*\*

Gdy następnego dnia wstało słońce, rozłożyliśmy się na łąkach pod Kopystanką i zgodnie z instrukcjami zaczęliśmy przeprowadzać badania fitosocjologiczne. Trudne, mozolne i czasochłonne, a do tego pogoda nam nie sprzyjała, bo było bardzo gorąco, a mieliśmy sprawdzić ilościowość, żywotność, towarzyskość... Nie będę zanudzał szczegółami, po za tym, że tematem naszej pracy był ostrożeń siedmiogrodzki, ciekawa i rzadka roślina w tym kraju.

Ulokowaliśmy się powyżej niewielkiego wzniesienia zwanego Horbyskiem i rozpoczęliśmy swoje prace. Po chwili

pojawił się wiatr, jaki zazwyczaj towarzyszy nadciągającej burzy. Nie byliśmy w stanie zapanować nad naszymi notatkami, które wzniesione w górę, popłynęły w nieznane. Nie próbowaliśmy je ratować, bo wiatr był zbyt silny, ale na szczęście burza ominęła Kopysno i mogliśmy bez trudu powrócić do swojego namiotu. Nie byliśmy jednak z tego dnia zadowoleni, bo utraciliśmy wyniki naszych badań, które trzeba było powtórzyć. Eh te kartki papieru... .

\*\*\*

Następnego dnia, gdy kolega chciał skorzystać z wychodka, i zdążył zrobić kilka kroków od namiotu, wrócił nagle i zaczął mnie budzić.

„Wstawaj, mamy brakujące notatki z naszych badań. Ktoś je wsunął do naszego namiotu, gdy spaliśmy.” – podzielił się z radością tą informacją.

„Spójrz, ktoś nawet poukładał je według numerów stron.”- dodał.

„Skoro tak, to dziś odpoczywamy.”- odrzekłem. Będąc zaspany nie próbowałem dociekać kto pozbierał porwane przez wiatr wyniki naszej pracy i je do nas przyniósł. To pewnie ta „Niewidzialna ręka” z telewizji, pomyślałem.

W tym dniu było bardzo gorąco i by nie dostać udaru słonecznego, zrezygnowaliśmy z dalszych prac fitosocjologicznych.

Kolega wyjął z plecaka książkę, której tytuł brzmiał „Mistrz i Małgorzata” i tak się w niej zanurzył, że nie można było z nim spokojnie porozmawiać.

Wiedząc o czym jest ta książka, nieco zadrwiłem z niego i zażartowałem sugerując mu, że czyta jakąś erotyczną powieść.

„I jak tam twa Małgorzata? Okazała swoje wdzięki? – zapytałem.

„Co ty wiesz... to jest arcydzieło, na uczelni każdy student przeczytał tę książkę, a ty nadal kpij ignorancie.” – stanowczo odpowiedział kolega.

„A czego się z tego dzieła nauczyłeś? Podaj jakiś przykład.” – ciągnąłem dalej temat.

„Kpij sobie, kpij. A znasz tę rudą i zielonooką Hellę? Nic o niej nie wiesz, więc zamilcz.” – odpowiedział wyraźnie zirytowany mój kolega.

Nie miałem ochoty dalej prowadzić z nim dyskusję i oceniać dzieła, po które sięgnął, ale widoczne musiało ono zrobić na nim olbrzymie wrażenie, a zawarte w nim mądrości musiały mocno zapaść w jego świadomość.

Na szczęście nie każdy musi zachwycać się tym, czym zachwycają się inni, i nie każdy musi akceptować mądrości przedstawiane w jakichś wynurzeniach literackich.

Posiadając nieograniczony wybór, udałem się do pobliskiego sadu, bo tam jeszcze nie byłem.

Nie tylko ja wpadłem na ten sam pomysł, bo gdy wszedłem do sadu, pod drzewami leżały krowy maści czarno-białej, które w tym czasie przeżuwały pokarm, i gdy do nich zbliżyłem się, odwróciły głowy w moją stronę i zaczęły patrzeć na mnie tymi dużymi ślepiami, jakby chciały mnie zjeść. Szkoda, że nie potrafiłem z nimi rozmawiać, bo pewnie dowiedziałbym się od nich czegoś więcej o sobie.

W sadzie oprócz jabłoni, grusz i śliw, rosły zdziczałe czereśnie, które zaczęły już dojrzewać, ale bez drabiny nie mogłem rozkoszować się ich smakiem. Wtem dostrzegłem bróg z sianem, przy którym stała drabina. Chwyciłem ją, ale była bardzo ciężka, choć drewniana. Z trudem udało mi się ją przenieść i oprzeć o pień drzewa. Kiedy na nią wszedłem z łatwością mogłem przeskakiwać z niej na każdy konar, czy gałąź, by móc zrywać dojrzałe, czerwieniejące się owoce, których smak był niesamowity. Były bardzo słodkie z lekką nutą goryczki, lecz niestety małe. Dużo trzeba było nazrywać owoców, by najeść się do syta.

Choć po jakimś czasie przestałem jeść czereśnie, nie schodziłem z drzewa przez kilka godzin. Było mi tam tak błogo, a przy tym powiewał lekki wiatr, który kołysząc drobnymi gałązkami, rozwiewał gorące powietrze z mojej twarzy.

Miałem już schodzić z drzewa, gdy usłyszałem, że ktoś zbliża się do sadu. Siedziałem cicho, bo byłem ciekaw, kto zmierza w moją stronę.

Nagle zza sąsiedniego drzewa wyszła dziewczyna trzymająca w ręce małe wiaderko, którym machała w rytm jakiejś angielskiej piosenki, którą śpiewała. Miała długie rozpuszczone czarne włosy, a na sobie zwiewną malowaną kwiatami krótką koszulę sięgającą do kolan i bosymi stopami dotykała z wdziękiem traw, co wzbudziło mój zachwyt.

Siedząc na drzewie, kilku metrów nad ziemią, nie mogłem zbyt wiele dostrzec, a gdy dziewczyna nagle zmieniła kierunek i znikła za drzewami, straciłem z nią kontakt.

Musiałem jednak dowiedzieć się kim ona jest, więc po cichu zszedłem z drzewa.

Skradając się niczym myśliwy, postanowiłem lepiej się jej przyjrzeć. Kiedy podszedłem do miejsca, w którym znikła, usłyszałem kroki kogoś, kto szedł w moją stronę. Schowałem się za pień dorodnej jabłoni i czekałem na to, co będzie dalej.



Nagle zza gałęzi drzew wyszła dziewczyna z pełnym wiaderkiem jakiś czerwonych owoców. To pewnie maliny, pomyślałem. Była odwrócona do mnie, więc znowu nie mogłem spojrzeć na nią z bliska.

Ku memu zdziwieniu, przeszła kilka metrów i nagle zatrzymała się odwracając się w moją stronę, jakby wiedziała, że tego pragnę.

Nigdy nie zapomnę jej oczu i tych roześmianych ust z których wypowiedziała do mnie jedno zdanie: „Czemu tak stoisz i nic nie mówisz?”

Kilka słów, ten niebywały uśmiech, usta i duże oczy podkreślone ciemnymi gęstym rzęsami... замуrowały mnie. Nie potrafiłem wypowiedzieć żadnego słowa.

„Zostawiłeś pod drzewem drabinę, więc odnieś na miejsce, bo dziadek będzie jej szukał.” – dodała i odwróciwszy się pomknęła w swoją stronę.

Dlaczego nic jej nie powiedziałem? Dlaczego za nią nie pobiegłem? Zacząłem się oskarżać, że zachowałem się jak mruk. Zawaliłem na całej linii, ale skąd ona wiedziała, że korzystałem z drabiny? Musiała mnie widzieć, jak wchodziłem na drzewo... a może jej się podobam? Pytania te zaczęły się mnożyć, ale odpowiedzi było brak.

\*\*\*

„Chłopie, spotkałem cudną dziewczynę i to gdzie!” – z niekłamaną radością podzieliłem się tą wiadomością z kolegą.

„Tu? Na tym odludziu? Pewnie coś ci się przewidziało.” – odpowiedział kolega, wątpiąc w moje słowa.

„I co? Pewnie pasła krowy na pastwisku. Daj sobie spokój z wiejskimi dziewczynami.” – dodał.

„Z tobą nie można rozmawiać. Mówię ci, dziewczyna była boska i nie pasła krów, jak mówisz, lecz zbierała w sadzie maliny i śpiewała po angielsku”- odpowiedziałem nieco zirytowany postawą kolegi.

„A wiesz przynajmniej jak ma na imię i gdzie mieszka?”- zapytał kolega.

„Nie wiem, bo nie rozmawiałem z nią.”- odrzekłem ze smutkiem.

„Ha ha ha... bałeś się ją poderwać? Bo ty się nie znasz na dziewczynach. Pokazałbym ci, jak to się robi, ale moja Basia to by mi twarz podrapała, gdybym tylko spróbował.” – pochwalił się z pewną nutą żalu mój kolega.

„Odezwał się wiejski podrywacz. Tobie się wydaje, że to kupowanie towaru. Wchodzisz do sklepu, wykładasz pieniądze i dostajesz co chcesz. Mnie nie interesuje taki sposób poznawania kobiet.” – oznajmiłem.

„Jeżeli spodoba mi się jakaś dziewczyna, to odzywa się we mnie dusza myśliwego, wtedy długo przyglądam się „zwierzynie”, patrzę na każdy szczegół i dopiero po jakimś czasie używam strzelby.” – dodałem, nie licząc na zrozumienie.

„E tam, to sobie patrz, patrz, a tymczasem ktoś ci dziewczynę sprzątnie sprzed nosa.” – rzekł kolega.

Nie chciało mi się z nim dyskutować i wyszedłem z namiotu. Usiadłem na drewnianym klocku, który leżał obok naszego obozowiska i wpadłem z zadumą. Przez cały czas nie dawały mi spokoju moje pytania i chęć odszukania dziewczyny. Co prawda w Kopysnie niewiele było domów, ale jak miałem odwiedzić je wszystkie i zapytać, czy mieszka tu dziewczyna, która zawładnęła moim umysłem?

\*\*\*

Przygotowywaliśmy dla siebie skromny obiad, i zabrakło nam soli do zupy, więc postanowiłem udać się po nią do domu naszego gospodarza.

Mieszkał on w skromnej chacie, z kamienia, gliny i drewna, a na szczycie jej dachu wykonanego z jakiejś blachy, która brązowieła w słońcu, był umieszczony metalowy kogut z chorągiewką wskazującą kierunek wiatru.

Nie trzeba było pukać, by wejść do środka, zwłaszcza że z domu dobiegał śmiech jego mieszkańców. Otworzyłem więc drzwi i wszedłem do środka.

Nasz gospodarz prowadził rozmowę, a w zasadzie był wsłuchany w opowieść jakiegoś człowieka, który mówił nie do końca zrozumiałym dla mnie językiem, ale tak barwnie opowiadał swoje historie, więc z ciekawości postanowiłem się temu przysłuchać. Nie było to łatwe, bo gość naszego gospodarza unikał pauz i mówił jednym ciągiem.

„A ja robił interesy... i napotkał mnie z Młodowic kulega i mówi: „Ty, Ty, tu Marianie i do mnie: „napijemy się wódki”. Ja wypił i zapomniał, że mam iść na komendę. Szlag trafił babę takie szerokie du...ę miała, wywrotkie z przodu. Kupe se choryłku, kupe se choryłku, do mnie gada. Ja wziął zapłacił, a mam na komendę wojewódzką wezwanie. Miał ja ze sobą flachę próżną od napoju i przelał te wódkie i kielich plastikowy wziął i co chwila popijam, a mnie obsiadało dziesięciu i pytają: „Co Pana tak pali, że ten nabój pan tak piji? Ja już wypił pół flaszki, pół litry, ja cokolwiek pierd...ił im do ucha. Panie, pan nie jest mądre zdanie, pan będziesz musiał iść do Żurawicy na badania, pan coś nie jest mądrze w głowie. Jak nie jest? Wyście mi głowę popsuli... . I wyszedł dobry komunikat mnie... . – zakończył swą opowieść gość naszego

gospodarza i spojrzawszy na mnie zapytał używając swojego języka:

„A co wy tam pod Horbyskiem szukata? Ja was tam widział. Tałabiecie jedynie trawę na paświsku... .”

Wtem nasz gospodarz ujął się za nami i wyjaśnił, że jesteśmy studentami i robimy badania, na co jego gość zwracając się do mnie rzekł: „Wy studenty bawci się dalij, nie chodźcie jednak piz dulinu z tema teczkami, bo moje psy mogą was chapsnąć.”

Kiedy już wychodziłem i miałem zamknąć drzwi od chaty, nasza gospodyni podeszła do mnie i wręczając mi jakiś pakunek powiedziała: „To dla was... upiekłam taki bałabuch z malin, zjedźcie na kolację.”

Tego dnia nie mogłem zasnąć, bo cały czas myślałem o pięknej nieznajomej, którą napotkałem w sadzie. We śnie widziałem ją, jak w delikatnej jedwabnej koszuli, dotykając gołymi stopami traw Mochowiska, biegnie po rosie w stronę Kopystanki, by przywitać wschód słońca. A ja biegnę za nią i chcę ją chwycić i dotknąć, ale stale mi ucieka... .

\*\*\*

„Wstawaj, kończymy dziś robotę i jutro wyjeżdżamy.” – wyrwał mnie ze snu kolega, po czym pełen radości zaczął mi opowiadać co zamierza zrobić.

„Z Kopysna udam się autobusem PKS do Przemyśla, potem autobusem PKS dojadę do Sanoka, gdzie wsiądę do autobusu PKS, który jedzie do Leska, ale wcześniej wysiądę na przystanku w Posadzie Leskiej i na nogach dotrę do mostu na Sanie, po czym skręcę w prawo w kierunku Huzel i uderzę wprost do mojej słodkiej Basi, która tam mieszka. Mam dla niej cudny prezent, który kupiłem wcześniej w Pewexie za uzbierane bony i myślę, że będzie bardzo zadowolona, bo lubi kolor niebieski i jego odcienie.”- skończył swoją opowieść mój kolega.

Nie mogłem tego słuchać, bo nie chciałem stąd wyjeżdżać, gdzie zostawiłem swoje serce. Cały czas myślałem o mojej bogini, którą ujrzałem w sadzie. Dręczyła mnie stale myśl, dlaczego nie zapytałem jej nawet, jak ma na imię.

\*\*\*

Zwinęliśmy namiot i spakowaliśmy swoje rzeczy czekając na gospodarza, który obiecał, że nas zabierze z całym tym majdanem do Rybotycz.

Siedząc na wozie przez cały czas milczeliśmy. Kiedy przekraczaliśmy potok Kamienny wymknęło mi się jedno zdanie: „Żał mi stąd wyjeżdżać... .”

Wtedy gospodarz odwrócił się i spojrzawszy na mnie chciał mi coś powiedzieć, ale w tym czasie musiał zająć się końmi, które

mocząc kopyta w potoku nie były z tego zadowolone, więc zrezygnował z rozmowy.

Wóz zatrzymał się przy przystanku autobusowym niedaleko szkoły w Rybotyczach, byśmy nie musieli z daleka taszczyć swoich bagaży.

Gospodarz mimo swego wieku, pierwszy wyskoczył z wozu niczym młodzieniec i chwytając mnie za ramię rzekł: „Mam coś dla pana. Moja wnuczka bardzo mnie prosiła, bym to panu wręczył.” Po czym wyjął spod siedzenia wozu białą kopertę, i dając mi ją oznajmił z uśmiechem: „Tylko niech panu wiatr jej nie porwie.”